

Przewodnik Katolicki

Ilustrowany tygodnik dla rodzin katolickich - Redaktor założyciel X. Józef Kłos, redaktor nacz. X. Fr. Forecki

NA NIEDZIELE PIĘCDZIESIĄTNICĘ



Ofiara Izaaka obrazem ofiary Chrystusa.

Gdy Bóg zażądał od Abrahama, aby syna swego jednorodzonego, którego miłuje, Izaaka, ofiarował Mu na całopalenie, Abraham, posłuszny Bogu, poszedł na wskazaną górę, tam zbudował ołtarz i ułożył na nim związanego syna. Już wyciągnął rękę, aby zadać synowi cios ofiarny, gdy Anioł Pański z nieba zawołał: „Nie ściągaj ręki twej na dziecko, ani mu nie czynź nic złego; teraz poznałem, że się boisz Boga, bo nie oszczędziłeś jedyne go syna twego dla mnie”.

Kościół wprowadza do nabożeństwa Pięćdziesiątnicy tę ofiarę Izaaka, bo ona jest obrazem ofiary Chrystusa. Jak niegdyś Izaak, tak teraz w Nowym Zakonie Jezus Chrystus staje się niewinną Ofiarą za grzechy ludzkości. Dlatego to Kościół św. przysposabiając nas na Mękę Pańską przypomina nam dziś w liturgji niedzielnej ofiarę niewinnego Izaaka.

Na obrazku widzimy Abrahama wpatrzonego w jasność niebieską i tulącego do siebie syna w chwili, gdy Bóg już nie żąda tej ciężkiej ofiary.

Proletariusze wszystkich krajów.....

Ideal pokoju — wolności — równości — co z niego zrobiono?

Trzeba być bardzo naiwnym, żeby wierzyć, że komuniści, zdobywszy władzę w Rosji lub gdziekolwiek i wprowadziwszy ustrój komunistyczny, urzeczywistnią wszystkie hasła i zasady komunistyczne, które głosili wedle „ewangelji” Marksa, żydowskiego twórcy komunizmu.

W ich pokojowe, antymilitarystyczne t. j. przeciwojskowe hasła nikt dziś nie wierzy, bo widzi, że Rosja sowiecka, komunistyczna lepiej jest uzbrojona niż carska i na wojsko wydaje obecnie 6 1/2 miljarda rubli. Zwalczając wojsko — owszem, ale tylko przeciwnika, a jak najwyżej postawił swoje!

Nie wierzy też nikt już w głoszone hasło wolności. Wszak obywatelowi sowieckiemu wolno tylko to, co mu nakaże partja rządząca. Ust nie wolno mu otworzyć, nie wolno mu krytykować rządu! Nie wolno odzywać się z własnym zdaniem ani w prasie ani w domu, ani nawet wobec najbliższych.

A przecież nikt nie upominał się tak ideowo, tak zasadniczo, tak gwałtownie o wolność przekonani osobistych, religijnych, politycznych jak socjaliści. Nikt tak nie ujmował się zwłaszcza za politycznymi przestępcami. A dzisiaj, skoro tylko gdziekolwiek dochodzą do władzy, stwarzają taką cenzurę pism i książek, taką niewolę sumień, takie prześladowanie przekonani religijnych i politycznych, jakich — jak się tu u nas mówi — świat i korona polska nie widziały.

Przed wojną nie było socjalisty ani komunisty, ani żadnego wolnomyśliciela,

któryby przy każdej rozprawie parlamentarnej, przy każdej gardłowej sprawie sądowej, nie podnosił głosu na cały świat przeciwko karze śmierci jako gwałtowi, poniewierającemu ludzkość. Zwłaszcza przestępca polityczny był przez nich nie tylko chroniony, ale uważany za bratnią duszę.

A dzisiaj? Dzisiaj, jeżeli kto, to w pierwszym rzędzie przestępca polityczny idzie w Rosji na śmierć. Nie wspominajmy milionów dawnych ofiar. Mówmy tylko o niedawnym procesie obwinionych o udział w zabójstwie Kirowa, potężnego władcy politycznego GPU w Leningradzie. Za tego jednego człowieka wyrok sądowy skazał na śmierć według urzędowych wiadomości sowieckich stu dziewiętnastu ludzi. Wyrok bez litości wykonano. A przecież to byli przestępcy polityczni!

A równość? Owa równość klas, równość proletarycka! Ten uwielbiany niemal proletaryt, mający być jedyną klasą w państwie komunistycznym, jedyną klasą rządzącą! Wszystko równi towarzysze!

A jakże jest w Sowietach z tą równością? Oczywiście, że każdy obywatel proletarycki sowiecki ma prawo nawet do najpotężniejszego Stalina powiedzieć: towarzyszu! I sam Stalin nazywa się towarzyszem. Ale tylko bardzo naiwny uwierzy, że między towarzyszem rządzącym a towarzyszem rządzonym jest jakakolwiek równość. W przeciągu krótkiego czasu ma już komunistyczne proletaryckie państwo swoją arysto-

krację rządzącą, swoją — jak się to mówi — elitę, która ani nie myśli o proletaryckiej równości. Przykład sowieckiego państwa najlepiej rozwiewa tę bajkę. Proletaryt nierządzący jest niewolnikiem. Więc poco bujać i poco cały świat tumaniać hasłami równości?

A własność? A równość majątkowa? „W Rosji sowieckiej pojęcie bogactwa jest nadzwyczaj względne. Wybitni komuniści są bogaci, ponieważ w dosłownym tego słowa znaczeniu rządzą Rosją. Mają do dyspozycji najlepsze potrawy, doskonałe ubrania, służbę, wygodne wille pod Moskwą i domy odpoczynkowe na Krymie i na Kaukazie, najlepsze samochody, rezerwowane wagony na kolejach, a o ile zachodzi tego potrzeba, to specjalne pociągi.” Przecież to już najwyraźniejsi burżuazyści!

Ale poco głosić takie szczytne, takie uludne, takie mające ludzkość uszczęśliwić hasła, kiedy postępuje się wprost przeciwnie.

Już smutnej pamięci nieboszczyk Lenin patrząc na żalosne owoce, jakie wydała jego polityczna praca, zwykł był biadać: Na sto tak zwanych bolszewików przypada jeden bolszewik ideowy, 39 zbrodniarzy i 60 idiotów!

Tak wygląda w rzeczywistości państwie komunistycznym: pokój, ludzkość, wolność, braterstwo, równość.

Warto to przemyśleć, bo przecież dusza ludzka szuka prawdy.

Ewangelja na niedzielę Zapustną

zapisana u św. Łukasza w rozdz. 18, w. 31—43.

W on czas zebrawszy Dwunastu, mówił Jezus do nich: *Oto idziemy do Jerozolimy, a na Synu człowieczym spełni się wszystko, co napisali prorocy. Będzie bowiem wydany w ręce pogan; będzie zelżony i ubiczowany i oplwany, a po ubiczowaniu zabiją Go; ale dnia trzeciego zmartwychwstanie. Oni jednak nie z tego nie zrozumieli i rzecz ta była przed nimi zakryta; nie pojęli też tego, o czem mówiono.*

A gdy się zbliżał do Jerycha, jakiś ślepy siedział przy drodze i zebrał. A słysząc przechodzącą rzeszę, zapytał, coby to było. I odpowiedziano mu, że Jezus z Nazaretu przechodzi. Zawołał tedy, mówiąc: *Jezusie, Synu Dawidów, zmiłuj się nade mną! A ci, co szli na przedzie, grozili mu, by zamilkł; ale on jeszcze natarczywiej wołał: Synu Dawidów, zmiłuj się nade mną! Jezus więc przystanął i kazał go do Siebie przyprowadzić: a gdy się przybliżył, zapytał go, mówiąc: Co chcesz, bym ci uczynił? On zaś powiedział: *Panie, abym przejrzał! A Jezus rzekł do niego: Przejrzyj, wiara twoja uzdrowiła cię! I natychmiast przejrzał, i szedł za Nim, wielbiąc Boga. Wszystek zaś lud, widząc to, oddał chwałę Bogu.**

NAUKA

Dzisiejsza ewangelja przenosi myśl naszą w ostatnie dni przed ostatnią w życiu Zbawiciela Wielkanocą. Już snują się po drogach gromady pielgrzymów, na święta

wielkanocne zdążających do Jerozolimy. Już błyskają rozpalone na wzgórzach ognie a zewsząd płyną pobożne śpiewy pątników, radujących się, iż wkrótce ujrzą białe mury Jerozolimskiej świątyni i złotem pokryte jej szczyty.

I zaczyna wymieniać najboleńsze szczegóły męki swej, które setki lat wcześniej opisali prorocy z taką dokładnością, jakoby naoczni byli jej świadkami.

Obraz cierpień, jakie Go czekały od pierwszej chwili Wcielenia, stał Panu Jezusowi przed oczyma. Izaak wstępując na górę Morja, mógł się pytać: Ojczy, widzę ogień i drwa — a gdzie ofiara? Zbawiciel zaś zawsze był sobie świadom, że On sam jest tą ofiarą, którą Bóg sobie upatrzył od wieków. Mimo to, gdy wstąpił teraz na drogę, wiodącą Go po raz ostatni do Jerozolimy, widmo okrutnej śmierci, jaka Go tam czekała, tak Go przeraziło, iż apostołowie — jak się wyraża św. Marek ewangelista — doznali trwogi!

Oni tak się zawsze jeszcze lekali wszelkiego cierpienia! Ileż to razy poucał ich Pan Jezus, że nikt mu życia nie bierze, tylko On sam położy je dobrowolnie za grzechy świata. Ofiarowan jest, iż sam chciał! (Iz. 53,7). Przypominał im zwykle mękę swą bezpośrednio po zdziałaniu jakiegoś wspaniałego cudu jak np. Przemienienie na górze Tabor albo uzdrowienie

lunatyka (Mat. 17,14). Tym cudem — taka była myśl przewodnia Zbawiciela — wykazałem, że jestem wszechmocnym, nieograniczonym władcą nieba i ziemi, panem życia i śmierci. Mogłbym więc udaremnić wszystkie złe zamiary wrogów swoich i wniwecz je obrócić. Lecz ja cierpieć chcę, bo taka zapadła uchwała w łonie Trójcy Przenajświętszej i tak przepowiedali prorocy! Nie powinniście więc upadać na duchu, choć mię wkrótce zobaczycie zelżonego, ubiczowanego, oplwanego i do krzyża przybitego. Męka moja zakończy się zmartwychwstaniem: Dnia trzeciego Syn Człowieczy zmartwychwstanie! Bez cierpienia niema zbawienia!...

Czy nam nie przyda się przypomnienie tej nauki Zbawicielowej? Będzie nam ją Kościół św. przypominał przez cały Wielki Post, zachęcając do rozważania Męki Pańskiej. Podwójną stąd odniesiemy korzyść: umocnimy się w wierze czyli w przekonaniu, że śmierć Jezusa stała się naszym lekarstwem na śmierć ciała i duszy. Zmartwychwstanie zaś Pańskie zapewniło nam nasze zmartwychwstanie. Rozważanie Męki Pańskiej roznieci też w sercach naszych iskry wdzięczności dla cierpiącego za nas i dla nas Zbawiciela, bo jak powiada św. Ignacy: do rozpalenia w nas ognia miłości Bożej niema lepszego drzewa nad Drzewo Krzyża.

Ks. Bog.

BOHATER PÓLNOCY

Daleka podbiegunowa Północ. Kraj grozy wszelakiej, cudów przyrody, ojczyzna lodu i śniegu, rzekłbyś: kolebka długiej, kilkumiesięcznej nocy.

Te śnieżne wertepy, to ojczyzna Eskimosów. Wprost nieprawdopodobne, by ludzie żyć mogli tam, gdzie nic nie ma prócz kamienia, śniegu i lodu.

A jednak żyją i zapewnniają, że za nic w świecie nie zamienią swych podbiegunowych włości na bardziej rajskie klimaty. Używią się rybą, foką, morską, wielorybem, białym niedźwiedziem, a jak się zdarzy, to i reniferem i dziką, przelotną gęsią. I dobrze im w sąsiedztwie bieguna.

Nie wszyscy oni widzieli dotychczas białych ludzi. Nie wszyscy też jeszcze wiedzą, że mają duszę nieśmiertelną, że istnieje dobry Bóg, i że Chrystus zeszedł z nieba, by nas wszystkich zbawić.

Ale — oni łowcy dusz, misjonarze, poszli ich szukać wśród białych daleczyn, w ich domkach lodowych. Poszli już bardzo, bardzo daleko. Najdalsza na północ wysunięta stacja leży na 73 stopniu szerokości geograficznej.

Zdarzyło się niedawno, w r. 1931, że do stacji M. B. Śnieżnej w Pont Inlet (73° szer.)

przybyła delegacja z kilku Eskimosów. Nie widzieli oni jeszcze nigdy twarzy białego człowieka. Od innej grupy chrześcijańskich Eskimosów słyszeli, że istnieje Bóg, który czyni dusze szczęśliwymi i że o nim głoszą dobrzy Mężowie Modlitwy. Pocz-

ciwi Iglulikowie (tak się szczepta nazywał) zapragnęli uczynić szczęśliwymi swe dusze. Prosilili i nalegali bardzo o białego Męża Modlitwy.

— Taki dobry Bóg istnieje — mówili — a my o Nim nic nie wiemy. Przyjdź Czarna Suknio do nas biednych i naucz nas o Nim.

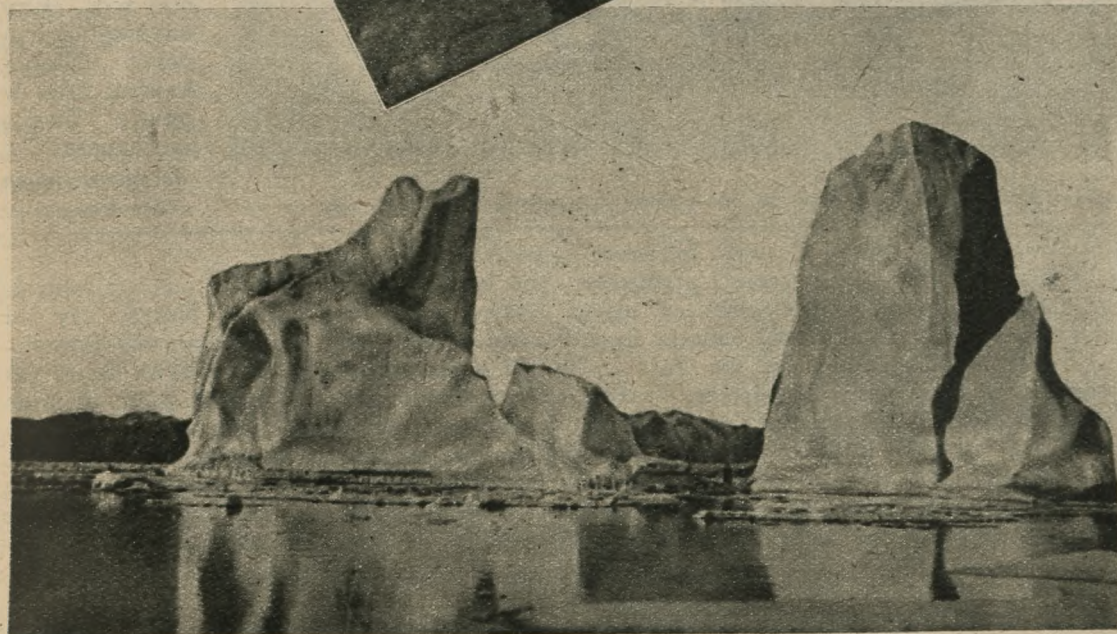
Nie można było odmówić Pana Boga tym biedakom. Ojciec Bazin załadował mały ołtarzyk na sanie, zabrał najniezbędniejsze rzeczy, zaprzęgnął psy i ruszył z Eskimosami. Pięć tygodni jechali. 500 mil dzieliło stację od wyspy Iglulików, leżącej na Oceanie Lodowatym. W drodze przyszła odwilż. Trzeba było sanie i psy zostawić, wziąć bagaż na plecy i wędrować poprzez topniejący śnieg.

Ojciec Bazin za-
tyka



Chrześcijański Eskimos.

Obok: Aż do najdalej ku północy wysuniętego cypla Ballin Island dotarła bohaterska misja. Z wielkich głazów śnieżno-lodowatych zbudował misjonarz skromną kapliczkę, w której każdej niedzieli gromadzi swoje owieczki.



Lodowce na brzegu wyspy North Devon na północ od Ziemi Baffina.

krzyż na iglu. To jego kościół i plebanja razem. Nie ma chwili spoczynku, bo jego Eskimosi nagwałt chcą Boga, chcą nauki, sakramentów, a zwłaszcza chcą Komunii św.

— To — mówili — czyni nasze serca mocne. Aż siedem miesięcy bawi u nich Ojciec Bazin. Po-tem już czas wracać. Sam jeden brnie przy świetle gwiazd i księżycy, śpiewając hymn dziękczynny, hymn chwały na zwycięstwo krzyża u Iglulików. Ochrzcił 22 dorosłych i rozdał 2387 świętych komunij. Tam, w nędznej lodowej zlepinie (iglu), u dzikusów, doniedawna własne dzieci pożerających, po dziesięć komunij dziennie! Niech żyje Chrystus Zwycięzca!

Po pięciu miesiącach przyszedł Iglulikowie znowu po misjonarza. — Tak ciężko nam żyć bez codziennej komunij, przyjdź znowu Czarna Suknio, byśmy codzienne mogli Boga przyjmować.

I O. Bazin poszedł. Na kilka miesięcy słuch o nim przepadł. Aż oto donosi, że „wspaniała katedra” u Iglulików stoi gotowa. Ma 3 m długości i 2 m szerokości. Sklecił ją z kilku zabranych desek. W niedzielę i święta musi dwie msze św. odprawiać, bo do „bazyliki” zmieści się tylko 40 ludzi (natłok), a on ich już ma 100. Sam żyje jak każdy

inny Eskimos. Jada to, co oni. Na zaproszenie wodza, którego z przesadą mianuje „królem”, a jego syna „następcą tronu”, chodzi na polowania, polowy ryb, podbieranie ptasich jaj. Dopisuje mu zawsze wspaniały humor, chociaż ostatnią pocztę otrzymał w roku 1930. Nie wie, co się w świecie dzieje, nie wie nawet, jak się nazywa Generał Zgromadzenia Oblatów, wybrany już przed dwoma laty.

Aż nagle — biskup Turquetil, wikariusz Zatoki Hudsonskiej, otrzymuje list od swego misjonarza. Datowany w kwietniu 1934. Stało się wielkie nieszczęście. „Wspaniała katedra” doszczętnie spłonęła. Spróchniałe deski zapaliły się od płomyka lampki tranowej. Silny huragan sprzyjał pożarowi.

W jednej chwili cała stacja stanęła w płomieniach. W ostatnim momencie O. Bazin zdołał uratować trzy konsekrowane hostje i modlitewnik eskimoski. Bohaterski misjonarz zapłakał na zgłiszczach trzechletnich wysiłków i ofiar...

Przez trzy dni samotny, bezdomny, tuląc 3 święte hostje do serca i karmiąc się łzami, nie wie, co począć. Aż niespodziewanie zjawiają się Eskimosi. Jeden z nich o 15 km pociął swąd dymu. Pospiechli więc zaraz do misjonarza, niespokojni o jego los.

Dla O. Bazin zaczyna się życie w czystym stylu eskimoskim. Jest tak biedny, a nawet biedniejszy od swoich Eskimosów. Przyjmuje

gościń w iglu starego Józefa, dopóki sam nie zbuduje sobie lodowego domku. Chcąc go zeuropeizować, wprawia szyby z wielorybiego pęcherza. Gdy się psy o nich zwiędziały, zjadły nocą smakowite okna.

Potem przyszła Gwiazdka — zeszło-



Bóg nie gardzi betlejemskim ubóstwem. — „Kościół i plebanja” misjonarza Eskimosów.

roczna. Bez pasterki, bez złóbka, bez wilji. Lecz O. Bazin szczęśliwy całą duszą. Mą przeciw trzy uratowane hostje. Zostawił je na największe święta. A przytem w swem ubóstwie, opuszcze-

niu tak podobny Boskiemu Dzieciątku. W styczniu 1934 r. wybiera się do stacji misyjnej w Repulse-Bay po pomoc i środki. Ledwie żywy z wyczerpania i głodu staje tam dopiero w kwietniu. I wtenczas to pisze list do swego biskupa. Zaopatruje się w najkonieczniejsze przybory i po krótkim wypoczynku wraca do ukochanych Iglulików, bo błagali go tak serdecznie, żeby jak najprędzej wrócił z Bogiem, którego pożywać będą. Ma nadzieję, że w lecie statek misyjny przewiezie mu na wyspę drzewo na nową „katedrę” i środki do życia.

Przyszło krótkie, niespełna trzymiesięczne lato podbiegunowe. Lody tają dopiero w lipcu. Okręt „Pius XI” ma do zaopatrzenia kilkanaście stacji misyjnych. Wreszcie jedzie po O. Bazin, by go zabrać do Churchill (stolica biskupa) na rzetelny wypoczynek po nieprawdopodobnych przygodach na Północy. Od ostatniej stacji w Repulse Bay ma jeszcze pięćset mil do wyspy Iglulików. Ale już tworzy się niebezpieczna kra, statek

posuwa się powoli wśród lodów, gdy nagle potężny złom lodu rozpruwa mu bok. Z trudnością załata no dziurę i co prędzej zawrócono z powrotem, wobec niemożliwości dalszej podróży. Bohaterski O. Bazin znowu sam, bez środków do życia, bez wieści ze świata. Świat też o nim nic nie wie. Czy nie ulegnie trudom? Niepokalana, miej w opiece Twego misjonarza!

Ks. Klem. Chajan
Oblat Niepokalanej.



Misjonarz nadziewa psom buciki, by sobie łap nie poraniły po ostrym lodzie i śniegu.

Co pisze protestant Dr. Colin Ross, światowej sławy podróżnik, o naszych katolickich misjonarzach Północy:

„Misjonarzy, których poznałem w krajach arktycznych, cenię i podziwiam jako ludzi bardzo wybitnych, nadzwyczajnych, którzy potrzeby i właściwości duchowe Eskimosów poznali wiele lepiej od innych białych tubylców. Czy to biskup, czy też proboszcz, wszyscy oni rozumieją Eskimosów lepiej, aniżeli uczeni badacze krajów arktycznych i pełni są podziwu dla przywiązania Eskimosa do jego lodowej krainy, w której Opatrzność żyć mu każe... Nigdzie praca nawracania nie odbywa się w tak arcytrudnych okolicznościach, jak w stronach podbiegunowych. Nietylko dlatego, że bezustanny mróz ogromnych żąda od niego sił fizycznych. Nie, misjonarz musi, chcąc odnaleźć swe owieczki, iść dosłownie do ściętych wiecznym lodem krain, wszędzie tam, gdzie idą jego owieczki. Eskimosi są przecież ludem koczowniczym! Nigdzie nie zagrzewają na dłuższy czas miejsca. Stałe domy Boże w tych stronach także istnieją. Ale te tylko wtenczas zapełniają się Eskimosami, gdy ci przypadkowo zejdą się w tej miejscowości, by wymienić ułowione skóry i futra na artykuły pierwszej potrzeby. Przez cały zaś niemal rok trzeba włóczyć się po bezkresnych śnieżnych krainach, wszędzie tam, gdziekolwiek nadzieja łownej zdobyczy zawiedzie wędrującego Eskimosa.“

♦♦♦♦♦
Błogosławiony, kto w ciemnościach wierzy : Błogosławiony, kto rozpacz uśmierzy : Błogosławiony, kto służy Ojczyźnie najszczerzej... Rydel
♦♦♦♦♦

Z MINIONYCH LAT

Wspomnienia byłego niemieckiego duszpasterza Polaków na obczyźnie

I

Caritas Christi urget nos — miłość Chrystusa naciska nas.

Wspomnienia poświęcam pamięci tej zacnej pani dobrodziejce, której zawdzięczać po większej części znajomość polskiego języka i miłość do polskiego ludu.

Początki

Rodzina wieś moja, położona w środkowych Niemczech, należy do małej historycznej krainy, t. zw. Eichsfeld, która, będąc mniej więcej tysiąc lat częścią arcybiskupstwa mogunckiego, dzięki Bogu przetrwała burze reformacji i choć otoczona ze wsząd krajami protestanckimi zachowała naogół wiarę katolicką od czasów św. Bonifacego (730 r.) do dzisiaj.

Ś. p. mój ojciec opowiadając nam o swoich latach wojskowych, wspominał nieraz szeregowca Polaka, którego miał w swym oddziale. Polaków odznaczał się wielkim przywiązaniem do wiary katolickiej.

Pierwszych Polaków widziałem z okazji wielkiej uroczystości kościelnej (1896 roku), na którą przybyli robotnicy sezonowi z pobliskich folwarków. Nie myślałem wtedy, że wielką część mego życia i mojej pracy kapłańskiej poświęcę Polakom na obczyźnie.

Po ukończeniu nauk gimnazjalnych udałem się do Paderbornu, aby się przygotować do stanu duchownego. Zaprowadzono właśnie w tym roku (1904) dla teologów obowiązkową naukę polskiego języka pod kierownictwem ks. Stefana Szymańskiego, teraźniejszego proboszcza w Obronikach.

Otrzymaawszy r. 1908 święcenia kapłańskie dowiedziałem się, że władza biskupia zamianowała mnie wikariuszem przy kościele św. Trójcy w D...dzie, powierzając mi pracę duszpasterską nad Polakami katolikami. Oczywiście, że przyjąłem to z zadowoleniem

Polecono mi jednak najprzód na kilka tygodni pojechać w okolice polskie, gdziebym się mógł lepiej wykształcić w języku polskim.

Ówczesny proboszcz parafii św. Trójcy zwrócił się więc do ś. p. ks. Beiserta, ówczesnego dziekana w Cerekwicy ze zapytaniem, czyby nie mógł przyjąć młodego księdza i uczyć go lepszej wymowy polskiej. Już we dwa tygodnie potem nadszedł telegram: Młody ksiądz może przyjechać.

Niezapomniany pobyt w Bruczkowie

Bruczków pod Borkiem, gdzie się znajduje teraz zakład misyjny Ojców Słowa Bożego, należy do parafii cerekwickiej (w pow. koźmińskim woj. poz.). Dominjum Bruczków było wówczas własnością ś. p. W. Koczorowskiej, która tu utrzymywała sierociniec dla polskich dzieci. Kapelan domowy, ś. p. ks. dr. Kozankiewicz, zachorował na wiosnę

r. 1908, więc dom bruczkowski potrzebował kapelana. Ks. Beisert zaproponował pani Koczorowskiej, żeby mnie przyjęła jako zastępcę, i tak dostałem się do Bruczkowa.

Przypominam sobie jak dziś, jak wo-



Ś. p. W. Koczorowska

właścicielka Bruczkowa i fundatorka Sierocińca.

nica, poczciwy Antoni — słyszę że jeszcze żyje — po mnie do Cerekwicy przyjechał, a w drodze zaczął ze mną rozmawiać pół po polsku, pół po niemiecku (służył bowiem przy dragonach) i tak dawaliśmy sobie radę.

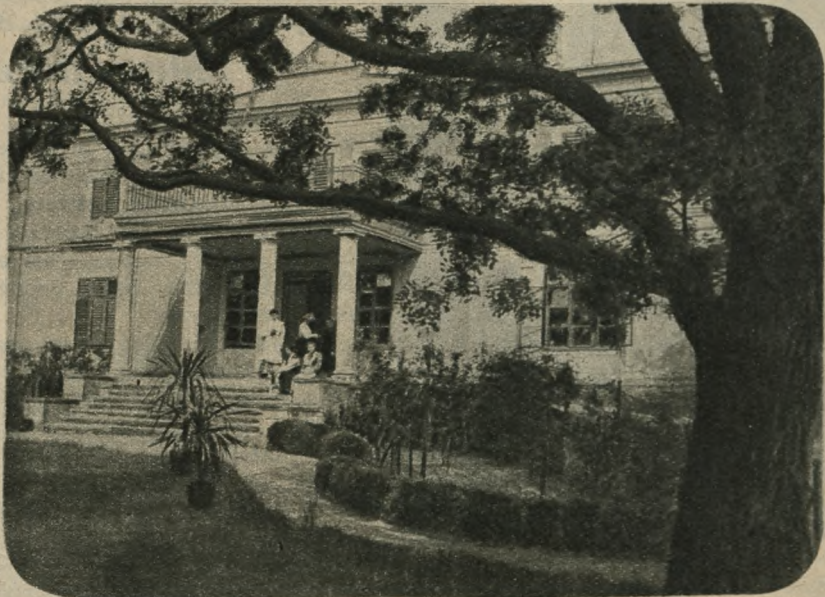
Zajechawszy tam pod wieczór (dn. 16 maja 1908 r.) zostałem bardzo mile przyjęty, choć mnie nikt jeszcze nie znał. Pani Koczorowska prosiła mnie, żebym odprawił nabożeństwomajowe, jeśli mogę. Z dobrą odwagą podjąłem się tej pracy — i poszło, aczkolwiek wezwanie: Wieżo z kości słoniowej — spr-

wiło mi niespodzianą trudność i zająknąłem się przytem doskonale.

Tak się zaczął mój pobyt w Bruczkowie poniekąd pod błogosławieństwem Matki Boskiej. Pobyt rzeczywiście pełen pięknych, niezapomnianych wrażeń, pełen dobrych i pożytecznych nauk tak, że owe tygodnie zaliczam do najpiękniejszych mego życia. Tu poznałem szereg drogich księży Konfratrów, którzy ze mną się po bratersku obchodzili.

W Bruczkowie poznałem także szlachetność i gościnność polskiej szlachty, a przede wszystkim pobożność i wierność polskiego ludu. Do nauki brałem się rażno i miałem znakomitą okazję, bo od dzieci mogłem się niejednego nauczyć. Nie dziw, że mile wspominał tych grzecznych Franusiów, Antków, Kazimierzów, Leonów, Jasków i te Janinki, Stasie i Maryski. Z całego serca życzę im wszystkim najlepszego powodzenia. Po paru tygodniach odważyłem się na wygłoszenie pierwszego kazania polskiego. Ks. Dziekan nawet mógł mi potem powierzyć całą parafję na dwa tygodnie. W późniejszych latach jeszcze osiem razy odwiedziłem Bruczków, zawsze witany jako przyjaciel.

Nadmieniam już tutaj, że po moim pobycie co rok prawie przybywali do gościnnego Bruczkowa księża Westfalczy, aby się poduczyć polskiego języka. Wszystkim się tu bardzo podobało i wszyscy potem też gorliwie w duszpasterstwie pracowali. Tym sposobem stała się JWPani Koczorowska prawdziwie wielką, choć publicznie nieznaną dobrodziejką polskiego ludu na obczyźnie, i gdy dn. 3 stycznia 1927 r. umarła



Dwór w Bruczkowie. Z widokówki przesłanej Ks. M. bezpośrednio po jego wyjeździe z Bruczkowa. Na widokówce tej napisała ś. p. pani Koczorowska: Szanowny Księżu Dobr. Bardzo nam wszystkim, a mnie najbardziej tęskno za Księdzem. Wczoraj ciągle wspominaliśmy: „teraz jest w Poz., teraz w Ber. teraz w Hall.“. Piszę przy dzieciach na górze, bo już nie mam zastępcy, więc tylko kilka słów przesyłam, aby jeszcze raz podziękować Księdzu Kapelanowi za jego dobroć i przyjaźń dla mego domu. Wszyscy pozdrowienia przesyłamy W. K.



Bruczowskie Józki i Jaśki z 1908 r.

jako sędziwa, aż do śmierci pracująca matrona. Poświęciłem jej w „Odczycie” — t. j. czasopiśmie w Związku Wzajemnej Pomocy zasłużone wspomnienie pośmiertne.

Powróćmy znowu do Bruczowa w roku 1908.

Staralem się nietylko o znajomość polskiego języka, lecz też polskiego kraju i polskich obyczajów. Przede wszystkim mam tu na myśli niektóre odpusty, w których uczestniczyłem, np. wielki odpust 2 lipca w Borku. Po-

dziwiałem przy tej i innej okazji ofiarność i pobożność polskiego ludu, także i piękność obrzędów i procesyj.

Objazd Polski i objazd z Bruczowa

Z miejscowości polskich odwiedziłem w tych miesiącach stary Koźmin, gdzie doznałem gościny u ówczesnego ks. proboszcza a dziś Biskupa łomżyńskiego Ks. Łukomskiego; dalej Gostyni i klasztor OO. Filipinów, nareszcie Poznań. Do Krakowa pojechałem w rok później podczas Oktawy Bożego Ciała. Zwiedziłem katedrę, gdzie przy ołtarzu św. Stanisława odprawiłem do głębi wzruszony mszę św. za moich Polaków, dalej kościół Marjacki, kościół św. Anny, i św. Stanisława na Skałce. Mieszkałem w te dni u księży Jezuitów, a stałem się zato przez długie lata odbiorcą licznych książek i pism, wychodzących ich nakładem, a pisma te były mi przy pracy duszpasterskiej bardzo pożyteczne, mianowicie: Posłaniec Serca Jezusowego i Głosy Katolickie. W Krakowie jakoś głębiej zacząłem pojmować polską kulturę.

W Gnieźnie byłem dopiero w trzy lata później, bo 1911 roku miałem tam już znajomych z D...du. Ma się rozumieć, że zwiedziłem majestatyczną katedrę i jej zabytki. Do Częstochowy niestety nie mogłem jechać, bo władze rosyjskie utrudniały przyjazd księży z Niemiec. Dopiero w roku 1925 miałem to wielkie szczę-

ście, że mogłem i Jasną Górę odwiedzić i przed cudownym obrazem Mszy św. odprawić. O tem już człowiek nie może zapomnieć.

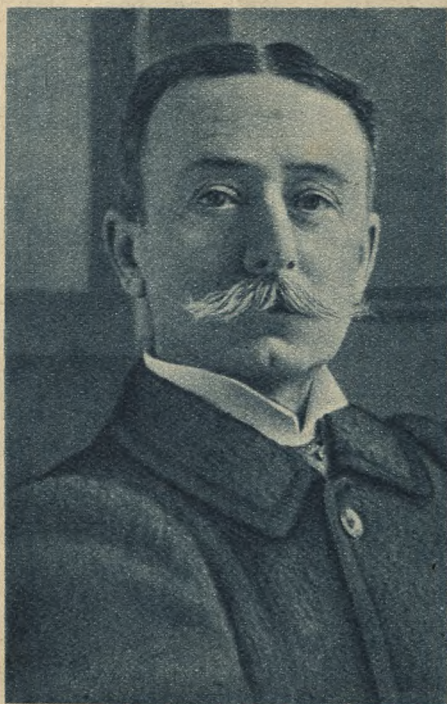
Niech mi wolno będzie tu podziękować chłopczykowi, który mi służył do Mszy św., bo bardzo nabożnie i akuratnie służył, także chórowi, który, nie wiem czy naumyślnie lub przypadkowo, śpiewał pieśń, którą znałem z niemieckiego i z polskiego: „Do Twej dajmy kaplicy”, i nareszcie Ojcom za miłe przyjęcie.

Czas mego pierwszego pobytu w Bruczowie się skończył, bo robota w Niemczech w mieście D...zie mnie wołała. Więc z początkiem września 1908 r. trzeba było się pożegnać. Dowiedzenia na drugi rok! Ta nadzieja osłodziła ból rozstania się z miłą kaplicą i całym pięknym domem i ogrodem, a przede wszystkim z tylu osobami, z którymi się zawarło serdeczną przyjaźń. Chłopcy płakali nawet, no i ja też.

Jadąc ku zachodowi zatrzymałem się w niedzielę w Hali nad Saalą, gdzie w tamtejszym kościele zaraz wygłosiłem krótkie kazanie polskie. Wstąpiłem naturalnie i na parę dni do matki. Ojciec już nie żył.

Poprzez rodzinne moje strony budowano wtenczas kolej żelazną, a zatrudniano tam także polskich robotników. Dowiedziawszy się o tem, nie omieszkałem ich odszukać, i udało mi się kilku z nich nakłonić do tego, że rychłym rankiem przyszli do spowiedzi św.

Wreszcie znalazłem się w miejscu mego przeznaczenia, na drugim końcu państwa niemieckiego, w wielkim mieście D... oczekiwany przez Polaków parafji św. Trójcy. Ks. M.



Już w tym numerze

„Przewodnika Katolickiego“

ukazuje się oddawna zapowiadana, głośna i piękna powieść **René Bazin'a** p. t.

„Magnificat“

Niedawno zmarły autor tej powieści, którego fotografię przy tej sposobności umieszczamy, należał do bardzo cenionych i znanych pisarzy katolickiej Francji, tak, że twórczość jego odznaczono nawet wielką literacką nagrodą. René (Ireneusz) Bazin urodził się 1853 r., umarł niedawno.

Pozyskanie więc tej powieści, w znakomitym przekładzie polskim dla „Przewodnika Katolickiego”, jest jeszcze jednym dowodem troski redakcji o jaknajlepszy dobór materiału i jaknajszersze zainteresowanie swych czytelników.

W związku z tem prosimy gorąco **Przewielebnych Księży**, aby zachęcali wier-

nych do przeczytania tej wysoce moralnej, a artystycznie pięknej powieści, która już od pierwszego rozdziału zacieka i porwie czytelników.

Kto przeczyta pierwszy rozdział, musi przeczytać całość!

Jeżeli więc jeszcze nie znasz „Przewodnika Katolickiego”, zamów go sobie, jeżeli zaś jesteś już jego czytelnikiem, odnow prenumeratę, gdyż ten najlepszy i najtańszy (tylko 20 gr!) tygodnik katolicki nietylko zamieszcza szereg dobrze redagowanych działów, lecz daje również wysoce moralną i urozmaiconą powieść, pióra znakomitego pisarza.

Réne Bazin czytaj Ryne Bazę.

Penmur — wioska w której rozgrywa się akcja czytaj Pammjur.

Intencje Apostolstwa Modlitwy na miesiąc marzec 1935 r.

Ogólna: O chrześcijańskie obyczaje w małżeństwie.

Misyjna: O nawrócenie ludności armeńskiej i asyryjskiej (we wschodniej części Małej Azji).

Z 132.— zł nadesłanych przez pp. Skirmuntów przekazaliśmy 66.— zł na pomnik N. S. Jezusowego w Poznaniu i 66.— zł na kościół Opatrzności w Warszawie.

Nasze listy i odpowiedzi

P. R. Rybicki. Wcale nie widzę trudności. Zamiast: Polska ponad wszystko — można powiedzieć: wszystko dla Polski, Polska dla Boga. Tak samo dobrze, a jednak równocześnie po chrześcijańsku.

Kalendarz

3. N. Kunegundy c.
4. P. Kazimierza królów.
5. W. Hadrijana m.

Adoracje N. S.

- Kościeliskii Targowagór.
- Kruszwica i Uzarzewo.
- Ostrowo n. G. i Grodziszczko.
- Ostrowo p. Strzelno i Białeżyn.
- Piaski i Długa Goślina.
- Polanowice i Kicin.
- Rzadkwini i Lechlin.

Z życia katolickiego

Trzynastą rocznicę koronacji Ojca świętego Piusa XI zarówno w Mieście Watykańskim jak i w całym świecie katolickim obchodzone z wielką uroczystością, świadczą o szczególniejszym przywiązaniu katolików do osoby Ojca św. i o czci, jaką sobie zyskał za swe wielkie dzieła dla rozwoju życia katolickiego. W Polsce, tak w Warszawie, jak w stolicach metropolitalnych, biskupich i w parafjach odbyły się również nabożeństwa i akademje.

Może najstarsze miasto polskie Kalisz, bo o niem już historyk rzymski II. w. p. Chr. pisze jako osadzie Calissia, przez którą kupcy rzymscy jechali ku bałtykowi po bursztyn, Kalisz tak strasznie i po barbarzyńsku zniszczony na samym początku światowej wojny przez Prusaków, a odbudowany obecnie, urządził na cześć Piusa XI piękną akademję, którą uświetniło żywe przemówienie p. mecenasa Dołęgi-Kowalewskiego, śpiew solowy p. Niewiadomskiego i wytworna gra orkiestry wojskowej 29 pułku S. K. pod kierownictwem p. kapelmistrza kapitana Wojakowskiego. Przyczynił się też do tej uroczystości i **Przewodnik Katolicki**, mający w Kaliszu tak mnogą i gorąco przywiązaną rzeszę Czytelników. Redaktor Przewodnika Katolickiego p. Ignacy Stein wygłosił bowiem na akademji odczyt p. t.: Pius XI, Wielki Papież na przełomie czasów.

Tragiczna śmierć w 80-tą rocznicę urodzin. Najstarszy z księży redaktorów, redaktor Gazety Kościelnej, **Ksiądz Prałat dr. Aleksander Pechnik**, obchodził niedawno 80-tą rocznicę urodzin we Lwowie, gdzie się urodził w r. 1855. Świeżo doniosły gazety, że sędziwy jubilat, po odwiedzinach jednego z konfratrów dostał ataku paralizu i upadając przewrócił lampę naftową. Sparaliżowany nie mógł jej ugasić. Wszczął się pożar. Gdy straż pożarna ugasiła ogień, znalazła wie zwęglone zwłoki staruszka. Wieczne odpoczywanie racz się, Panie, za tyle pracy położonej w ciągu życia jego około rozwoju religji i literatury katolickiej.

Kompozytor Feliks Nowowiejski szambelanem

papieskim. Dnia 3 lutego b. r. Ks. Kardynał Prymas Hlond wręczył panu Feliksowi Nowowiejskiemu nominację na szambelana papieskiego, który to tytuł nadał mu Ojciec św. w uznaniu licznych zasług w dziedzinie muzyki kościelnej. Pan szambelana Nowowiejski jest autorem wielu znanych kompozycji, jak oratorium „Quo vadis“, „Legenda Bałtyku“, „Rota“ oraz całego szeregu innych patriotycznych pieśni. Szczególnie bogaty jest zbiór jego utworów religijnych.

Z życia Kółka Misyjnego w Wieluniu. OO. Franciszkanie w Wieluniu troszczą się gorliwie o rozwój życia religijnego zwłaszcza w organizacjach katolickich. W uroczystość M. Boskiej Gromnicznej Kółko Misyjne przy kościele OO. Franciszkanów urządziło Wieczór Misyjny. Jeden z kleryków wygłosił odczyt o misjach franciszkańskich, poczem odegrano misyjną jednoaktówkę „Moje dusze“. Przez urządzenie wystaw i wieczorów misyjnych budzi się zainteresowanie sprawami misyjnymi wśród społeczeń-

zgromadzenia religijne są zakazane. Generała Callesa przywieziono aeroplanem do Los Angeles. Operacja miała szczęśliwy przebieg. Tak to ofiary tyranji odpłacili się swemu ciemnicy i prześladowcy Kościoła!

20-lecie wyboru O. Ledóchowskiego na generała zakonu OO. Jezuitów. Generał zakonu Jezuitów **O. Ledóchowski** obchodził 20 rocznicę swego wyboru na to dożywotnie stanowisko.

O. Ledóchowski jest, jak wiadomo, pierwszym Polakiem, piastującym godność generała Jezuitów. Generał Jezuitów zajmuje w Ko-



O. Ledóchowski, generał zakonu OO. Jezuitów.



Z okazji 25-lecia kapłaństwa złożyli hołd Ks. Prymasowi na ręce Najprzew. Ks. Biskupa, Walentego Dymka w Poznaniu, dnia 19 lutego b. r., następujący kapłani proboszczowie:

Siedzą od lewej: 1. X. redaktor Cieszyński. 2. X. T. Mroczkowski. 3. X. prałat Wilkans. 4. X. kan. Dr. Stanisław Hutten-Czapski. 5. X. Chrzan, dziekan. 6. X. Adamek. 7. X. Klerz. 8. X. Radomski. 9. X. Spikowski. 10. X. kapelan morsk. St. Lukowski. 11. X. Dziubiński. 12. X. Siczynski. 13. X. Smoliński. 14. X. Tomaszewski. 15. X. Kaźmierczak. 16. X. Górny. 17. X. Poprawski. 18. X. Stachowak. 19. X. Galdyński.

stwa. To też Wieluń szczerze był wdzięczny za ten wieczór OO. Franciszkanom a zwłaszcza O. Poradzie za kierownictwo wieczoru, którego dochód przeznaczono na kształcenie kapłana-misjonarza.

Chlebem za kamień. Plutarch Eljas Calles, jeden z najbardziej fanatycznych prześladowców Kościoła katolickiego w Meksyku, eksprezydent a obecnie główna choć ukryta sprężyna anty-religijnej kampanji, poddał się ciężkiej operacji w zakładzie leczniczym św. Wincentego w Los Angeles. Zakład św. Wincentego jest szpitalem katolickim, kierowanym przez

siostry miłosierdzia. W Meksyku

ściele świętym tak wybitne stanowisko, że zaliczają go do najwpływowszych postaci w świecie katolickim. Język ludowy nazwał go „papieżem czarnym“ w przeciwieństwie do kardynała-prefekta propagandy, którego nazywają potocznie „papieżem czerwonym“, i w przeciwieństwie do prawdziwego papieża, który dla białej szaty słusznie nosi przydomek „papieża białego“.

Liczba senatorów i posłów w Stanach Zjednoczonych Ameryki, którzy w imieniu swoich wyborców składają przed Kongresem protesty przeciw prześladowaniu religji w Meksyku i domagają się odwołania z Meksyku posła Stanów Zjednoczonych, stale wzrasta. Większość tych protestów i rezolucji wniesiona została do protokółów Kongresu. Do akcji podjętej przez katolików przyłącza się ostatnio wielu protestantów i żydów.

Za obligacje Polityczki Narodowej przesłane na Kościół-Pomnik w Kowlu, dziękuję proboszcz parafji Ks. Prałat Tokarzewski Czytelnikom Przewodnika Katolickiego, proszę jednak o właściwe dokonanie przelewu obligacji. Niektóre bowiem przelewy tak fatalnie zostały wykonane, że zużytkowanie obligacji może nastąpić dopiero za 10 lat. Trzeba więc: na drugiej stronie obligacji tam, gdzie jest rubryka „Przelew“ w dziale pierwszej (tylko pierwszej) dopisać te słowa: Komitetu Budowy Kościoła-Pomnika w Kowlu i podpisać to samo imię i nazwisko, na które wydana jest obligacja. Obok Kościół-Pomnik w Kowlu.





Wielki rolniczy konkurs obrazkowy

dla Czytelników i Czytelniczek naszego dodatku „ROLA I OGRÓD”

120 nagród w łącznej sumie **540 zł!**

Warunki konkursowe:

Aby otrzymać jedną z licznych, cennych poniżej przytoczonych nagród, należy odpowiedzieć na następujące pytania:

1. Co oznacza obrazek nr. 1? Co może być powodem, że z dwóch kawałków ziemi, jednakowej wielkości i klasy sprzątnięto z jednej morgi 5 worków a z drugiego 3 worki zboża?

2. Ile jest ziarn w kłosach pod nr. 2? Od czego zależy ilość ziarn? Czemu byś zwiększył plon w tym roku? Czy nie zauważyłeś szkód na oziminach?

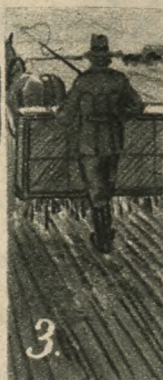
Jak usuniesz te szkody?

3. Co sieje rolnik maszyną na 3 obrazku?

4. Co to za liść na 4-tym obrazku? Czy to roślina pożyteczna? Gdzie rośnie? Jeżeli szkodliwa, czem i jak tępić?

5. Napisz, co za roślinka na 5-tym obrazku? Skąd przywędrowała? Ile ci wydała w zeszłym roku plonu? Czemu ją nawoziliście?

6. Co pokazuje Ks. Proboszcz na 6-tej rycinie? Jak to rośliny? Dlaczego?



na lewo wysokie a na prawo niskie rośliny? Czemu byś posypał, by było lepiej?

7. Co przedstawia 7-my obrazek? Które będą lepsze zbiory — na prawo czy na lewo? Jakim nawozem poprawisz?

8. Co rośnie w środku pod 8-ym numerem?

Czy dobre sąsiedztwo? Od czego plon zależy?

9. Co to za przyrząd? Do czego służy? Czemu?



kowy, Redakcja „Przewodnika Katolickiego”

Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22. Podać swój dokładny adres. Od rozstrzygnięcia Redakcji niema odwołania.

120 nagród!
w łącznej sumie **540 zł.!**

I-sza nagroda: 1 radjo kryształkowe ze słuchawkami 35,— zł, 100 kg 15% azotniaku 21,60 zł, 100 kg kaimitu pyła-5,— zł, 50 kg super-

i kiedy spryskuje się drzewa?

10. Czemu byś to drzewko nawoził, by było dużo owoców?

11. Napisz, co słychać na wsi i w Twojem gospodarstwie? Jak doszedłeś do tego, co masz? Czemu byś zarządził dzisiejszej biedzie?

Odpowiedź prosimy napisać na 1—4 stron papieru kancelaryjnego. Pisać najlepiej krótko i zwięźle. Odpowiedzi przyjmuje Redakcja do 15 marca b. r. Adresuj: Konkurs Obraz-



losiatu 5,30 zł, razem 66,90 zł.

II-ga nagroda: 1 aparat do spryskiwania drzew firmy „Universum w Poznaniu 48,— zł, 10 kg arbosalus-karbolineum do spryskiwania drzew i krzewów 10,— zł, razem 58,— zł.

III-cia nagroda	10 drzewek owocowych	20 zł
	50 kg saletry wapniowej	14,10
	100 kg soli potasowej 42%	18,50
	50 kg superfosfatu	5,30 = 57,90 zł
IV-ta "	5 drzewek owocowych	10,— zł
	100 kg soli potasowej 26%	11,50
	50 kg azotniaku 21%	14,40
	50 kg superfosfatu	5,30 = 41,20 zł
V-ta "	3 drzewka owocowe	6,—
	50 kg azotniaku 21%	14,40
	100 kg soli potasowej 22%	8,95
	50 kg superfosfatu	5,30 = 34,65 zł

5 nagród po	2 drzewka owocowe	4,— zł
"	40 kg saletrzaku lub superfosfatu azotniakowej	10,—
"	50 kg kalimagu	6,25
"	50 kg superfosfatu	5,30 = 127,75 zł
10 nagród po	50 kg soli potasowej 22%	4,50 = 45,— zł
100 " po	1 książce pod tyt.: „Poradnik dla ogrodników, leśników i pszczelarzy”	1,— zł
	i 1 kalendarzu rolniczym	0,10 = 110,— zł

Janina Stefanowa Zakrzewska

JEGO SYN

16)

Czuje, że czegoś jej brak... jakaś ma-
lenka, ale dotkliwa pustka w duszy jej
dokucza... wbrew woli, nieomal wbrew
świadomości czy z natężeniem ku wy-
lotowi drogi uciekają.

Władek Czarkowski?

Wzruszyła ramionami. Także! Co ja
Władek Czarkowski obchodzi? Nie ob-
chodził jej nigdy, a już co teraz...

Zalśniły nagle przed nią ciemnobłę-
kitne oczy o stalowym natężonym wej-
rzeniu... oczy, które umiały tak prze-
jmująco patrzeć, a które przy dwóch
ostatnich spotkaniach, tak twardem bez-
litosnym spojrzeniem ją uderzyły...

Spuściła głowę.

— Więc to tak?

Zacisnęła ręce.

— Niel, niel nieprawda! nie chcę!

Zasłoniła dłońmi twarz,
przygniotła palcami powie-
ki. Nie chce widzieć tych
oczów, takich wyrazistych,
takich pociągających ją jedno-
cześnie — tak bezlitosnie
zimnych i twardych...

Zaszemrał cichy głos za
jej plecami:

— Czy pozwoli się pani
powitać?

Porwała się jak iskrą elek-
tryczną dotknięta. Stał za
nią Stefan Czarkowski w
tem samym szarem ubra-
niu, które miał na sobie
wówczas, gdy się pierwszy
raz spotkali — był bez ka-
pelusza i przefiltrowane
przez liściaste sklepienie
słońce złociło jego ciemno-
blond czuprynę.

Wyjąkała z trudem:

— Pan tutaj? skąd się
pan wziął?

— Przyszedłem piechotą
od szosy... stałem tam, za
krzakami — ręką w kierunku
drogi ukazał — szukałem
pani... widziałem, że jej
wśród tańczących niema...

Odpowiedziała prawie ma-
chinalnie:

— Że mnie pan w tej gę-
stwinie wypatrzył...

— Jabym panią i pod
ziemią wypatrzył...

W gorącym szepcie męż-
czyzny było coś, co fale
krwi do twarzy dziewczyny
napędziło. Odwróciła gło-

wę, chciała się uśmiechnąć, odpowiedzieć
przekornie — nie mogła. Zaczęła ner-
wowo skubać róg wstążki nieśmiertelnym
klasycznym ruchem wiejskiej dziewczyny,
nawijającej w zakłopotaniu róg far-
tucha na palec.

A Stefan krok naprzód postąpił, blisko,
blizutko ku różowej postaci się nachylił:

— Panno Halino, pani chyba wie...
pani czuje, że ja panią... że dla mnie
nie ma życia bez pani...

Zdało się dziewczynie, że się niebio-
sa nad jej głową otworzyły — trochę
wrzaskliwa, poznaczona fałszywymi to-
nami muzyka zabrzmiała jej nagle aniel-
ską harmonją. Podniosła ku mówiące-
mu oczy pełne świetlistej radości, opa-
lone rączki puściły bardzo już słatygo-
waną wstążkę.

Pochwyił ją w mocny uścisk i lekko,
leciutko ku sobie pociągnął. Nie opie-
rała się, tylko przechyliwszy głowę na
ramię, wyszeptala z głębokim zdumie-
niem.

— A taki pan był... i wtenczas w le-
sie... i w Zosinku...

— Zazdrosny byłem! — wybuchnął,
ręce jej do ust tuląc. — Ach! jaki za-
zdrośny! Powiedziano mi, że Władek...
że pani... Boże! co ja wycierpiałem!

Wzruszyła ramionami. Władek! Co
za nonsens! Czy mógł kto na niego
zwracać uwagę, gdy taki Stefan był na
świecie?...

Wyraźnie to w jej oczach wyczytał.
Jeszcze ją bliżej ku sobie pociągnął.

— Najdroższa, więc zgadzasz się być
moją?

— Tak — wyszeptala
cichutko, nie odrywając od
niego błyszczących szczę-
ściem oczów.

Rzucił się na kolana, chciał
ją w objęcia pochwylić.

— Panie! zobacz!

— A niech zobacz! —
ochłonął jednak, powstał z
kolan i znowu rączki jej
do ust przyciskać zaczął.

Ona pierwsza odzyskała
równowagę.

— Chodźmy — powie-
działa, odbierając mu ręce.

Przytrzymał ją delikatnie
i ramię jej pod swoje wsu-
nął. Zaczewienila się, ale
się nie opierała.

Była chwilowa przerwa
w tańcach, gdy się na po-
laniu ukazali, to też uwa-
ga wszystkich zwróciła się
na młodą parę. Bartek
Olawski, dawny i wytrwały
wielbiciel panny Cielnińskiej,
zmarszczył się i zagryzł
wargi, twarze obecnych wy-
raziły zdziwienie, na nie-
których pojawiły się ironicz-
ne uśmiechy.

Stefan nie zwracał na ni-
kogo uwagi. Podszedł ku
pani Stareckiej i skłoniw-
szy się, przemówił:

— Stokrotnie szanowną
panią przepraszam, że się
tak późno stawiam na jej
miłe zaproszenie, ale mia-
łem niesłychanie ważne prze-



W ucieczce przed wilkami

Okolo Zirnowa w Macedonji greckiej stado zgłodniałych wilków na-
padło i zdziesiątkowało w górach trzodę owiec, poczem rzuciło się
na pasterza, który w rozpaczliwej ucieczce szukał ratunku. Niestety,
zagnany przez wilki na brzeg skalny, spadł w przepaść i zginął. Uszedł
wilkom, ale nie uszedł śmierci.

szkody... proszę mi wierzyć, że ogromnie żałowałem...

— Lepiej późno niż nigdy — odpowiedziała uprzejmie pani Starecka, patrząc z wielkiem zdziwieniem na stojącą obok Stefana zaczerwioną Halinę. — A myśmy tu już zwątpili... myśleliśmy, że skromna wiejska zabawa nie nęci przybysza z wielkiego świata.

— Nie nęci! — wykrzyknął Stefan tak głośno, aż siedzący obok bridżysti zmarszczyli się i głowy z niechęcią ku niemu odwrócili. — Proszę pani! Nie wyobrażam sobie, aby coś na świecie mogło mnie więcej nęcić... szalałem z niecierpliwości, ciągle spoglądałem na zegarek...

Pani Starecka się śmiała...

— Pańscy interesanci nie musieli być bardzo zadowoleni! A czy możnaby bez niedyskrecji zapytać, jakie to sprawy w nieodpowiedniej chwili na pana spadły?

Młody człowiek nieuchwytnie się zawałał. Zdecydował się prędko.

— Niema w tem żadnej tajemnicy. Miałem długą konferencję z moim kuzynem z Wielopola, który na moje prośby zdecydował się wyjechać do Australji, aby się tam zająć moimi interesami.

Znaczna część towarzystwa przysłuchiwała się rozmowie.

— Czyż pańskie interesa w Australji są tak rozległe, że aż potrzebują europejskiej pomocy? — zapytał z przekąsem Bartek Olawski.

— Istotnie, są bardzo rozległe — odparł spokojnie Stefan.

— Czyż tak? — niefortunny konkurent panny Cielńskiej uśmiechał się złośliwie. — A że to szanowny pan nie lękał się opuścić tak ważnych — i tak rozległych! — spraw, powierzając je Boskiej Opatrzności... bo cóż pan miał za pewność, że się w tej biednej Polsce znajdzie ktoś, kto by się zgodził jechać na koniec świata, do owych tak rozległych spraw, którym sam właściciel — przepraszam za otwartość — nie potrafił dać rady?...

Złość go dusiła, głos mu się rwał, w oczach, patrzących na stojącą obok Stefana Halinę, migotały iskierki wściekłości.

Pani Starecka przerwała drażliwą dyskusję.

— Nie bądźmy niedyskretni. Sprawy pana Czarkowskiego są jego osobistą własnością, nie ma żadnego obowiązku z nich się spowiadać... Bardzo pochwalam projekt wyjazdu pana Władysława. Właściwie nic tu nie robił. Pan Józef jest w pełni sił, pomocy nie potrzebu-

je... a młody powinien się wyrabiać, pracować samodzielnie.

Olawski chciał coś powiedzieć, nie dopuściła go do słowa:

— A przyjazd pana Stefana bardzo dobrze o nim świadczy — przygnała go napewno tęsknota, chęć poznania kraju ojczystego...

— Nietylko — odpowiedział Stefan.

Pani Starecka popatrzyła nań z nieukrywaną ciekawością.

— Nie śmiem pytać...

— Ale ja odpowiem. Nie mam powodu robić tajemnicy, zwłaszcza w dniu, gdy zostałem najszczęśliwszym z ludzi — podniósł do ust rękę Haliny, płonącej jak róża. Olawski zbladł nagle i pięści zacisnął. — Przyjechałem, bo uważałem, że tę trochę dorobku artystycznego, który mi się udało zdobyć, należy się mojej ojczyźnie...

— Jakiego dorobku? — krzyknęła pani Starecka.

Stefan się zaczerwienił, spuścił głowę jak winowajca...

— Jestem malarzem...

Któryś z bridżystów zaklął szpetnie; partner jego, stary pan Olawski, namiętny amator sztuki, porwał się z miejsca, rzucając karty. Skoczył ku Stefanowi.

— Pan jesteś owym sławnym Leroy?

O bezrobotnych, o pomocy Bożej i dzielnych kobietach

Ano darujcie! Wzięłam się i ja do pisania do kochanego „Przewodnika”. Milczy Janek, milczy jego Kundzia, a tu o niejednej sprawie trzebaby się ugadać z ludźmi od serca. Bo to, jak się człowiek z człowiekiem zejdzie, a uczciwie porozmawia, to niezawsze tylko język strzępi. Nieraz dobrą myśl do domu przyniesie, z której się dobre rzeczy rodzą.

Różne sprawy rusza Józef z Baranowa i mądrze rusza. Ale niejedno trzebaby tak po kobiecemu powiedzieć, jak to robiła Kundzia Obłeciświatowa. Bo kiedy idzie o dzisiejsze czasy, o dzisiejszą biedę, to ją może lepiej kobieta rozumie. Toć i ona ma swój rozum, ma serce, i ręce do pracy, które nawet w bezrobociu nie mają czasu na wywijanie młynka palcami albo bicie w stół pięścią. Mąż może szukać pracy, ale żona ma ją zawsze, boć przecież trzeba w domu porządek zrobić, strawę choćby najbiedniejszą ugotować, oprąć, obszyć, obsłużyć, dzieci dopilnować — wszystko czeka na ręce kobiety.

W tem bezrobociu żona i matka najwięcej się trapi. Łatwiej kawalerowi i pannie. Sami są, chyba że muszą dbać o rodziców lub rodzeństwo. Ale gdzie żona i matka, tam już rodzina, a tu rodzinie bezrobotnej dziś najciężej, a do tego i najtrudniej pracę znaleźć. I to mi tak dogryzło, żem postanowiła napisać o tem do „Przewodnika Katolickiego”.

Zesłałam się kiedyś z młodą moją znajomką. Ma męża i dzieci, a mąż bez pracy. Słukała się przede mną i mówi:

— Poradźcie mi, moja Michalino, co zrobić i myśleć, bo mnie już głowy nie

starczy do wymyślania tych pociech, jakich nam trzeba. Mąż mój jest ogrodnikiem — bez pracy! Bo gdzie się zgłosi, mówią mu: „Tylko kawaler-ogrodnik jest potrzebny, dla żonatego miejsca niema!” I mąż mój, choć zdrów jest i w zawodzie swym wyuczony, to jednak dlatego tylko, że ma żonę i dzieci, posady dostać nie może. — Czy to słuszne, i czyżby doprawdy teraz ojcowie rodzin pierwszeństwa do posady ustępować mieli kawalerom? — Gorzkiemi łzami oplakuję pokryjomu każdy męża mego daremny za chlebem trud, ale w oczy to go pocieszam, że jest Bóg na niebie, który, gdy „kogo stworzy, to go głodem nie zamorzy”. Ale już mi sił brakuje do takiego ciągłego, beznadziejnego pocieszania, więc może Wy, Michalino, poradzicie, co jeszcze dalej myśleć i mówić należy!

Okropnie zrobiło mi się markotno! Jak ciężko mają dziś młodzi, gdy im przychodzi żyć i dzieci chować w bezrobociu! Nie dziwota. — Tylko, że to równocześnie jest jeszcze ich szkodą większą!

A jakże, ich szkodą większą! Toć nieprzymierzając nawet wątroba zwierzęca traci wszelką wartość, gdy nieopatrznie zółć się po niej rozleje. Gorzka się wtedy robi, że nawet psu na pożarcie się nie zda, tem mniej nażytek ludzki. A jakże dopiero gorycz duchowa szkodzić musi delikatnej duszy ludzkiej, dla chwały Bożej stworzonej! Żadnej już chyba chwały ona Bogu oddać nie może! Widzimy to zresztą trochę po złych, a tak smutnych czynach wielu rozgoryczonych, także tych bezrobotnych.

I cóż tu pomóc? Ale ja, choć tylko starą i nieuczoną kobietą jestem, tylem się już życiu naprzypatrywała, że ono dużo mnie nauczyło! Mam więc i ja swoje rady na tę czy ową biedę. — Co do nędzy bezrobocia, to tysiące razy w życiu widziałam już, jak nic w nieszczęściu nie pomagały próżne żale i bezsilna złość na jego gorycz! Tysiące razy widziałam znów, jak nieszczeście zmieniało się w chwalebny zasługę i w radosną pogodę życiową wtedy, gdy z wiarą w Bożą sprawiedliwość cierpliwie bywało przyjmowane. Dlatego z szczerem i radosnym sercem powiedziałam onej ogrodniczce:

— Mądrze i dobrze czynisz, bo mądrze i dobrze czyni ten bezrobotny, który nieszczeście swej bezczynności dźwiga z wiarą w pomoc Bożą! — Bo tak wielkiemu nieszczęściu, jakim dziś na całej ziemi jest bezrobocie, tylko Bóg zaradzić może, Ten który nas zapewnił, że „zwyciężył świat”!

Niestety nie wszyscy chrześcijanie i katolicy o tem Jego zwycięstwie pamiętają. — Wielu nierozumnie pozwala się zatruwać bezsilnym szyderstwem nieszczęśliwych bezbożników! Wielu bezmyślnie nie pamięta o mocy Bożej, gdy układa się ugody handlowe, warunki płacy i pracy, lub gdy szuka się ratunku ze złych okoliczności, jak teraz z bezrobocia! A tymczasem my wszyscy doświadczamy i poświadczamy już możemy, że sama mądrość ludzka z tej nędzy bezrobocia nas nie wyprowadzi, choćby nie wiem jak po ludzku była potężna. I doświadczamy, że to jest żadną niewiarą niewzruszona prawda, iż tylko Bóg pisze te prawa, które służą do zbawienia ludzkości. — Bez Bo-

Ten się skłonił.

— To mój pseudonim... przyjąłem nazwisko matki, była z domu Królówna... z Krakowskiego... Jak tylko przyjechałem z Australii jeździłem tam, żeby krewnych jej poznać.

Zapanowało milczenie, oczy wszystkich białe były w Stefana. Twarz Bartka Olawskiego mieniła się tysiącem uczuć — zdumienie, gniew, zawód malowały się na niej kolejno. Nareszcie machnął ręką i ze spuszczoną głową, mieląc w zaciśniętych ustach jakieś przekleństwa, zaszył się w gąszcz leśny. Gdzie mu z takim o Halinę rywalizować? Rzucił się na bryczkę i do domu uciekł.

A na polanie zawrzało. Krzyżowały się wykrzykniki, pytania, wyrazy zdumienia i podziwu. Halina promieniała. Stała z głową wysoko w górę podniesioną, oczy jej błyszczały jak gwiazdy, usta uśmiechały się wyrazem dumy i słodyczy zarazem.

— A dlaczego pan tak pilnie strzeż swego incognito (ukrywanie się ze stanowiskiem lub nazwiskiem)? — wśród ogólnej wrzawy zapytała pani Starecka.

Wzrok Stefana pobiegł ku narzeczonej.

— Chciałem zdobyć szczęście jako biedny emigrant — odpowiadał pani Stareckiej, ale mówił do Haliny.

ga, to nawet weksła pewnego bezpiecznego podpisać nie można, bo 7 razy krzywdząco okpi przytem człowieka szatan, który się skryje za różne złości ludzkie.

Słyszałam raz dobre opowiadanie o podróżnym, który stanął w przyzwoitym hotelu amerykańskim i gospodarzowi zgóry wypłacił należność za pobyt. Kiedy gospodarz zapytał podróżnego: — Czy mam panu wydać pokwitowanie? — podróżny rzekł: — Nie potrzeba. Przecież Pan Bóg widzi, że panu należność wypłaciłem. — A kiedy ja w Boga nie wierzę — odpowiada gospodarz. — A, w takim razie — mówi podróżny — muszę prosić o pokwitowanie. Nie mogę zaufać ludziom, którzy Boga w sercu nie mają.

A Pan Bóg, to nawet jak Łazarza w Betanji — umarłych do świątobliwego życia wskrzeszać jest gotów, byle spełnianiu się Bożej miłości ku ludziom dopomóc. O ile więcej więc dopomóc może On, by ludzi zbudzić z martwoty bezrobocia do użytecznej pracy! Tylko może On widocznie chce uczynić to tylko pod jednym warunkiem, o wypełnianie którego zawsze wpierw pytał tych, co o łaskę jego prosili. Pytał: „Czy wierzysz, że mocen jestem to ci uczynić?” — I dopiero, gdy wiarę tę znajdował, to czynił cud swej pomocy. Więc wierzyć w mądrą, mędrszą od naszej ludzkiej, moc i potęgę Bożą, a także wiarę tę wyznawać, to jedna z rad dla tych, co ratunku z dzisiejszego bezrobocia szukają.

A druga rada to ta, by z całych sił i z wszelką cierpliwością współpracować z łaską Bożą, także z tą, która nam daje chleb powszedni!

Tak dziś nie dzieje się powszechnie! Są tysiące bezrobotnych, którzy nie

Promienny uśmiech zajaśniał na jej ustach. Nie zważając na obecnych, podała mu obie ręce.

— — — — —
Na szosie, u wylotu cieniejszej leśnej drogi, błyszczała karoserja wspaniałej Minerwy.

— Co to? — zapytała jak ze snu zbudzona Halina.

Wyszli właśnie oboje z lasu. Udało się po wielu trudach i podstępach wymknąć z objęć rozrzuwionej panny Bożeny, z uścisków rozochoconych i przejętych sąsiadów.

Stefan podniósł oczy, któremi dotąd stale narzeczoną pochłaniał.

— Ach! to moja maszynka! Sprawdziłem ją telegraficznie, bo od chwili, gdy już nie potrzebuję udawać biednego krewnego z za morza...

Roześmiał się głośno, radośnie. Halina patrzyła nań z niespokojnym niedowierzaniem.

— Więc w dodatku jest pan jeszcze i bogaty?

Wzruszył ramionami.

— Bogaty, bogaty... no, powiedzmy, że tak... Przedewszystkiem — uderzył ją płomieniem szafirowych oczów — jestem najbogatszym i najszczęśliwszym człowiekiem na świecie dopiero teraz... od godziny!

chcą pracy, nie chcą żadnej pomocy, lecz którzy tylko chcą pieniędzy, jakby ta zdradliwa wartość większem szczęściem dla człowieka była, niż użyteczna praca. — Przecież takie postępowanie nie jest słuszne i jest tylko „kulą u nogi” tych, co z dobroci serca na pomoc bezrobotnym spieszą. Bo każdy prawdziwie mądry wie, że nicby ludziom pomóc nie można, gdyby im się tylko pieniądze rozdawać miało. Pieniądzy nigdy nie będzie tyle, ileby ich ludziom trzeba! — A praca zawsze jest i wynagrodzenie za nią też być może. Tylko że razem z bezrobotnymi zubożeli dziś także pracodawcy, którzy nieraz nie mogą już dziś tyłu i takich ludzi zatrudnić jak dawniej.

Stąd też raczej aniżeli ze złej woli powstają te smutne odmowy posad dla „żonatych”. Z odmów tych jednak wpływa inna dobra nauka. Ale o tem nie teraz, bo trzebaby dużo mówić. Tutaj jeszcze wyrozumieć musimy, że dziś każdy z nas chce jak najmniej wydawać i jak najtaniej żyć. Bo o ludziach chciwych, którzy, mimo że mogą a jednak pomijają żonatych i im posady nie dają, nie będę pisać, bo oni z pewnością ani Przewodnika, ani tej gawędy nie czytają. Chowam sobie te różne inne ciekawe myśli na drugi raz, a dzisiejsze pisanie wolę zakończyć pocieszającymi słowami, które niedawno na wykładzie w naszym oddziale Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet usłyszałam.

Otóż podobno w obecnym kryzysie okazuje się, że daleko lepiej potrafi mu się obronić kobieta niż mężczyzna. Dlaczego? Podobno tylko dlatego, że bierze się gorliwie do każdej, nawet najtańszej, ale oczywiście uczciwej pracy, i że z niej groszowymi zarobkami zbiera te złote, które rodzinę jej od nędzy ra-

Wytworny szofer w granatowej libe-rji stał już przy samochodzie, dotykając ręką czapki.

— Ja prowadzę — rzucił mu Stefan.

Tamten się skłonił, otworzył drzwiczki.

— Pojedziemy do cioci, dobrze? — pochylił się ku narzeczonej Czarkowski.

Umieścił ją na przednim siedzeniu, sam zajął miejsce przy kierownicy, szofer usiadł wtyle.

Pomknęli. Auto pędziło bezszelestnie — migały drzewa, słupy kilometrowe, jakieś domki... Halina przechyliła się w tył, przymknęła oczy w upojeniu. Zachodzące słońce głaskało ją ciepłymi łagodnymi promieniami, pachnący wietrzyk rozwiewał włosy — radość ją przepełniała. Był przy niej, on! jej wysniony, wymarzony! Jest i będzie!... zawsze! zawsze już będą razem!

Motor ucichł — dziewczyna otworzyła oczy. Stali przed gankiem Zosinkowskiego dworku. Panna Zofja zalana łzami, ręce ku nim wyciągała. Skoczyli do niej, pochwyliła ich w objęcia.

— I pomyśleć, że ja się tak głowiłam, jak Stefka namówić, żeby się o Halinę starał — śmiała się przez łzy.

KONIEC

tują. Bardzo pięknie i ciekawie opowiadała ta pani wykładająca o podziwu i poszanowania godnych ofiarach tych żon bezrobotnych, co niezmordowanie bronią swej rodziny od nędzy przez to, że chodzą na posługę, do prania lub do innych dorywczych prac, a oprócz tego dbają jeszcze o własny „dom”, że rodzą i wychowują swe dzieci! A wszystko to robią one często wtedy, kiedy ich mężowie dorywczą, tanią pracą gardząc, wystawają tylko beczynnym po rogach ulic. A jabym dodała: albo siedzą w domu i zrzedzą, albo nawet klną. Łaska Boża, jeśli jeszcze nie piją i nie biją dzieci i żony.

Jakże wiele słuszności i prawdy jest w tych słowach owej pani! Ale nie poto je napisałam, by przykrość komu robić. Chciałabym jeno do uczciwej walki o byt utuchy dodać tym wszystkim znekąnym kobietom, które w pomoc Bożą wierzą i chcą być zaradkami i dobrymi członkami swych rodzin!

Dobrze, dobrze, róbcie tak, moje kochane matki, żony, siostry, a Bóg sprawiedliwy nagrodzi waszą wiarę i ofiarę. Wierzmy, że Bóg, który rodzinę stworzył i kazał jej żyć i rozradzać się, weźmie ją w swoją opiekę i sprawi, że i Państwo i ci, co mogą dać pracę, dadzą ją raczej ojcom, obarczonym rodziną, bo wtedy dadzą chleba i tym pisklętom, z których przecież wyrósł mają przyszli obywatele Ojczyzny. Daj Boże, żeby i u nas, jak to podobno jest w innych państwach, ustawy państwowe zaopiekowały się bardziej rodzinami.

Życzy im tego ze serca, a Was, mili Czytelnicy, którym Bóg dał pracę i zarobek, prosi dla nich o chrześcijańską pomoc i poparcie

szczerze Wam oddana

Michalina z Poradowa.

GDY IDZIE SZ W ODWIEDZINY...



Żyjemy pośród ludzi i żyjemy z ludźmi, nic dziwnego zatem, że powinniśmy w ten sposób postępować, aby ani ludzi nie obrażać, ani też samemu nie narażać się na pośmiewisko. Mądrość narodów stworzyła pewne zasady dobrego wychowania. Wypływają one częściowo z nakazów zdrowego rozsądku, a częściowo z umowy ludzkiej, którą robi się poto, aby sobie życie o ile możliwości ułatwić.

Do rzeczy nakazanych przez zdrowy rozsądek należy **póra wizyt**. Nie należy ich składać w godzinach zajęć obowiązkowych, posiłku lub spoczynku. Nie należy też z wizytą przychodzić ani za wcześnie, ani za późno, a już żadną miarą nie należy wybierać sobie na wizyty pory obiadowej lub zaraz po obiedzie.

Wprawdzie goście, przybywający w tę porę, na obiad zaprosić się nie dają, ale zato z przyjemnością obserwują, jak pod ich wzrokiem gospodarstwu wszystko kością w gardle, staje. Inni wreszcie, jakby przysięgli sobie nie dać się bliżnim wyspać. Za najodpowiedniejszą porę

do wizyt uważają godzinę duchów. Miałem taką ciotkę, która była prawdziwym postrachem rodziny, przychodziła bowiem zawsze wtedy, gdy już wszyscy inni ludzie dawno za sobą drzwi zamknęli, lub naodwrot przychodziła na trzy kwadransy przed najwcześniejszym gościem. Robiono formalne zakłady, czy się pospieszy, czy też dla odmiany spóźni. Matka moja wzdychała na jej widok ciężko, a mój braciszek oświadczył jej kiedyś z najspokojniejszą miną, że wszyscy umarli. Widząc jej przerażoną minę dorzucił prędko: „A wstań z trumny za 1/2 godziny, wtedy, gdy będzie pora na przyjmowanie gości”. Ten studencki dowcip trochę pomógł i ciotka przychodziła tylko o kwadrans wcześniej niż inni.

Plagą mniej uciążliwą, ale również plagą jest to, że młodzi panowie i to często nawet z dobrych domów, wchodzą do pokoju w płaszczu. Uchodzą to ze strony mężczyzny za wielki nietakt i proszę mi wierzyć, że lepiej zostawić płaszcz w przedpokoju, niż zyskać sobie opinię gburą.

Paniom wolno wchodzić do pokoju w płaszczu a nawet w kapeluszu na głowie, ale to dlatego, że kobiecie zostawia się zawsze możliwość pokazania tego, w czym jej jest do twarzy. Toby przecie była rzecz nieludzka kazać jej zdejmować kapelusze w przedpokoju, skoro jej w tym kapeluszu do twarzy. Inne prawa dla mężczyzn; żaden, dobrze wychowany, pod żadnym pozorem nie wejdzie nawet na chwilę do pokoju w płaszczu, bez względu na to, jak dłu-

go trwać ma wizyta czy załatwienie sprawy. Zawsze znajdzie dość czasu i energii, aby płaszcz i kapelusz powiesić na wieszaku w przedpokoju.

Przytem jedna uwaga pod adresem ludzi nieporządných lub roztargnionych. Prócz pana i pani domu bywa nieraz w domu służąca. Jeśli podarują ci niezbyt właściwą porę wizyty, jeśli nie zauważą łaskawie, żeś się wepchał w płaszczu, to bądź pewien, że żadna służąca na świecie nie podarowała jeszcze nikomu, kto jej zawałał posadzkę, kto nie wytarł nóg o wycieraczkę. Już dawno echo twoich kroków wsiąkło w mury sąsiednich kamienic, a jeszcze nazwisko twoje wraca na usta ludzi, od których wyszedłeś. Służąca, a czasem sama pani domu, klęczy na podłodze i stara się usunąć ślady twej bytności. A mam nadzieję, że byłoby, kochany przyjacielu, lepiej, gdyby się jej życzenia nie spełniły. Życzy ci bowiem coś równie brzydkiego, jak ta plama na podłodze, którąś po sobie zostawił.

Na wizycie nie patrzy się nigdy na zegarek (chyba uprzednio przeprosiwszy), ale zato ma się go zawsze w głowie, a przytem znakomitym sposobem zmierzenia czasu wizyty są miny ludzi, do których się wybrałeś. Jeśli będziesz je uważnie obserwował, dowiesz się napewno, czyś w porę przyszedł i czy przypadkiem nie pora może już się pożegnać.



Pod Rafajłową

(w 20-stą rocznicę)

Obraz ten przedstawia moment, kiedy major Roja, dowodzący w zastępstwie podpułkownika J. Hallera późniejszym 3 pułkiem Legjonów, prowadzi 24 stycznia nad ranem 1915 r. kontratak na Rafajłową, będące w liczebnej przewadze nad oddziałami polskimi, a które po zaciętej obronie musiały ustąpić. Artylerja polska ustawiona na górze wspomogła bardzo skutecznie główny atak, który szedł pod dowództwem ma-

jora Roi (na pierwszym planie obrazu na koniu), oraz boczny atak, prowadzony tyraljerą na zboczu góry Sałtruk (po lewej stronie obrazu) pod dowództwem kapitana Minkiewicza. Moskale odnieśli duże straty (500 zabitych) i wystrzelawszy amunicję, musieli ustąpić, tracąc wszystkie korzyści uzyskane w poprzedniej ofensywie. Oderwana od świata i zamknięta w dzikim pustkowiu karpacczym grupa Rafajłowska, stanowiąca w przyszłości rdzeń 3 p. Legjonów, przeszła twardą i ciężką szkołę żołnierską. Charakter walk górskich, wymagający żelaznej dyscypliny, wytrwałości i samodzielności młodych

dowódców, wyrobił z pełnego temperamentu ochotnika typ karnego i niezawodnego w boju żołnierza. Z bitwy pod Rafajłową wyszedł z dobrze zasłużonym imieniem „dobrego żołnierza”.

Rafajłowa to cudowna miejscowość podkarpacka, pusta i senna w zimie, zapelniająca się tylko raz w roku gośćmi, gdy miłośnicy sportów zimowych zgromadzą się tutaj, by brać udział w marszu na trudnej 80 kilometrowej trasie. Ostatnie zawody odbyły się niedawno. Brało w nich udział około 67 patroli narciarskich.

Malował artysta malarz Jerzy Kossak.

RENÉ BAZIN

MAGNIFICAT

POWIEŚĆ

I.

Mieszkańcy Penmur

Od morza dał tak silny wicher, że Jan Maguern (czyt. Magern), który jeszcze nosił dawne bretońskie nakrycie głowy, musiał dobrze umocować swój filcowy kapelusz z aksamitną podpinką, aby mu go zawierucha nie zdarła. Wypuścił więc z rąk linkę, na której prowadził młodą, codopiero kupioną jałowicę, obie ręce położył na czarnym filcu, wciskając go głęboko na czoło i uszy.

— No, teraz — zamruczał do siebie — jeśli wiatr ma ochotę na mój kapelusz, to będzie musiał razem z nim oderwać mi głowę.

Potem odwracając się i spoglądając na jałowkę, która na pochyłości skubała zaczęła skąpo rosnącą trawę, rzekł:

— Masz już biedactwo dosyć tego dobrego, ano i ja też. Podjedz sobie jeszcze ździebelko!

Przed nim, od strony południowej, ku której był zwrócony, widać było w oddali domy jego najbliższych sąsiadów, o dachach łupkiem krytych lub strzechę. Cisza już panowała zupełna, cisza wieczoru. Tylko od północy słyszeć się dawał daleki szum pociągów, dążących w stronę Questembert (czyt. Kestamber), a wiozących amunicję, żywność i wojsko. Wojna wciąż jeszcze trwa; ciągnie się już oto od siedemnastu miesięcy!

Człowiek ujął w ręce linkę, uwiązaną do rogów jałowki i począł iść w stronę pastwiska. Przez czas pewien szedł drogą polną, poczem przeszedłszy ścieżką przez pole, dotarł do skalistego płaskowzgorza, które otacza i zawiera wody dwóch strumieni, płynących od Questembert i tworzących tu prawdziwe jezioro, zwane stawem Penmurskim. Tu droga tworzyła zakręt, poczem otwierała się prosto na podwórze fermy. Budynek mieszkalny stał na lewo: długi był i stary, ciemny zupełnie o tej późnej porze z wyjątkiem jednego okna od środka, skąd w ciemność wpadał jasny blask lampy.

Jan skrócił linkę, trzymając ją tuż przy rogach jałowki z obawy, aby się nie przewróciła na kamienistym i mierzwą pokrytym gruncie, na którym co chwila potykała się i poślizgiwała. Doszedłszy do zabudowań i minawszy dwie trzecie długiego budynku, pchnięciem pięści otworzył drzwi obory. Wchodzącego objął zapach bydła, które nagle zbudzone i niespokojne porykiwało leciuchno. On zaś, wiedząc, gdzie miejsce jest puste za wołami i dojnymi krowami, prze-

prowadził poomacku nowo nabyte zwierzę na sam koniec obory, uwiązał przy korycie, założył za drabinę wiązkę siana i wyszedł.

Z chwilą, gdy rozlegający się na podłodze oświetlonej izby stuk sabotów oznajmił rodzinie powrót Jana Maguern, powstali wszyscy ze swych miejsc, a głosy dziecięce i dojrzałe pozdrowiły wchodzącego:

— Dobrywieczór, ojczel!

— Dobrywieczór! Noc dziś okrutnie ciemna. Jałowica bardzo była zmęczona. Już myślałem, że nigdy nie dojdziemy.

Dzieci zajmowały zwykle swe miejsca po jednej stronie stołu, nad którym wisiała mosiężna lampa naftowa z kolorowym kloszem. W skupionem jej świetle rumieniły się i złociły twarze okrągłe i młode. Wszyscy czekali na wieczerzę, którą przyrządzały kobiety. Wszystkie one były na nogach. Przerwały na chwilę zajęcia, gdy ojciec wszedł do izby; z chwilą jednak, gdy usiadł na pierwszym miejscu przy stole, obok syna Andrzeja, najstarszego z obecnych tu jego dzieci, znów się zabrały do pracy. Matka, pochylona nad kotliną, kobieta tęga i bardzo jeszcze czynna i ruchliwa, lewą ręką trzymała patelnię, zaś prawą, za-

pomocą widelca unosiła omelet, aby się nie „przypalił”, Marta, żona najstarszego syna, Pawła, który bił się teraz gdzieś w okolicy Verdun, druga „władza” na fermie (gospodarstwie), kobieta również tęga, lecz smutna, w czasie posiłku przynosiła z piwnicy jablecznik i stawiała go na stole, i wreszcie Anna, córka starszego brata Jana, obecnie najemnica u stryja.

Anna stawiała przed każdym ze stółowników talerz, kładła łyżkę i widlec, a każdy z nich ustami lub wzrokiem rzucał jej słowo życziwe. Lecz Andrzej trochę dłużej niż inni zatrzymał wzrok na młodej dziewczynie, która kładła przed nim nakrycie; ona zaś wiedziała, że ten jeden więcej i inaczej lubi ją niż tamci.

Świadomie nie odpowiadała na jego spojrzenia. Lecz mimowoli, gdy odwracała się, by z kredensu nowe dobyć talerze, pojawiał się na jej twarzy wyraz radości z tego, że żyje i że ma oto przy sobie przyjaźń tak ogromną. Ani na chwilę nie przestawała usługiwać.

Wśród tych mieszkańców penmurskiej fermy stanowiła ona jeden z najczystszych okazów rasy: twarz ma podłużną i długą szyję dziewczęcia szlacheckiego rodu, cerę matową, więcej złocistą niż różową, brwi łagodnie zarysowane łukiem niezmiernie łagodnym w wyrazie jej twarzy, jakimś macierzyńskim i łatwo zdradzającym wzruszenie, odbija się cała piękna jej dusza.

Skoro jednak z cichego zamyślenia zbudzi ją jedno słowo, jeden rozkaz, jedno życzenie tych, którym służy, gdy otworzy wielkie swe oczy, blasku pełne i młodości, gdy przemówi, wówczas nietrudno odgadnąć, co ją każdemu czyni tak drogą: gotowość woli, umysł sprawiedliwy, jasny i oponowany. Dziewczyna, umiejąca zapomnieć o sobie. [Ojciec jej mówi: „Podaj zupę, Anno”, — ona podaje, pocziwy Józek robi uwagę: „zupa niedosyć słona”, a Anna spieszy przynieść mu soli; wąty, chorowity Franus, któremu nie danoby więcej niż siedem lat, prosi: „Anno, mnie trzy łyżki”... a ona z radością odmierza trzy duże łyżki temu „swe-mu” dziecku.

Bo ta rodzina wieśniacza oddawna już przejęła zwyczaj miejski; mężczyźni nie jadają teraz ze wspólnej misy, a każdemu część jego wydziela Anna. Co do niej, co do Marty, a nawet i samej matki, to one jeść będą jak się zdarzy: albo stojąc, albo przysiadłszy na skrzynce lub na stopniu za-



mknętego łóżka*). Są to jeszcze w rodzinie Maguernów szczątki dawnych obyczajów.

Przez długie dziesięć minut nikt w izbie się nie odzywał. Rządziło uczucie głodu.

Gdy Jan Maguern spożył swą porcję jajecznicy, wyprostował się, zwracając się do Andrzeja:

— Coś robił po orce, gdy poszedł po jałówkę?

— To, co mi ojciec kazał: zaprowadziłem klacz do kowala do Muzillac (czyt. Mjuzijjak).

— Konno?

— Konno. Bułanka dobrze niesie. Ale jej wiatr w nos dmuchał, że ciągle musiała kichać.

Dzieci zaczęły się śmiać.

— Nie śmiecie się — rzekł ojciec. — Trudno żądać, abyście w waszym wieku ciągle myślały o wojnie, jak my, starsi. Ale nas ta myśl nie opuszcza. Nie mogę spokojnie słuchać śmiechu. Cóż, Andrzeju, nie dowiedziałeś się przypadkiem czego w mieście?

Wolnym, ostrożnym ruchem zginiąc prawą rękę, poszukał młody w kieszeni marynarki.

— Widzę, że ci ręka jeszcze dolega?

— Troszkę, ale to przejdzie. Zpótrotem musiałem obu rękami trzymać za cugle: puściłem na trakcie klacz galopem.

To mówiąc począł rozkładać gazetę, kupioną w Muzillac. Wszystkie trzy kobiety natychmiast się przybliżyły: Marta najpierwsza, matka tuż przy niej. Anna pozostała w cieniu: pełne światło padało tylko na białe jej czoło i na dwa pasma jasnych włosów.

— To wszystko. Jest to komunikat z 20 grudnia 1915 r.: „Szczęśliwy wypad na wysuniętą linię niemiecką w okolicy Loos...”

— O mój Boże — ozwał się głos — może Paweł tam był...

I Marta, blada jak płótno, oparła się o róg stołu.

— Ależ nie, córko, nie! — cichym głosem uspokajał ojciec — mąż twój jest nie w okolicy Loos lecz pod Verdun.

— Biją się wszędzie, ale w gazetach mało o tem piszą.

— Niech Andrzej czyta dalej.

— „...pozwolił uprowadzić trzydziestu dwu jeńców i trzy karabiny maszynowe. Na całym froncie pogoda fatalna. Pozatem nic nowego.”

Ojciec zwrócił wzrok ku oknu, które dygotało pod naporem wiatru. Słysząc było żalną skargę uginających się drzew i złe wycie wchru, który je chciał złamać.

— Ten wiatr — podjął znów Jan — doszedłszy tam na linje frontu, nie ma już tej siły co tu; on też za wiele walk miał po drodze, więc potem sprowadza deszcz. Zdaje mi się, że Michał, ten od sąsiadów, pisał, że w okopach ludzie po kolana stoją w błocie.

— Pisał „aż po pas”, Janie — ozwała się matka.

— Tak, aż po pas! Niektórzy żołnierze giną w rozmokłej ziemi, a deszcz padać nie przestaje. Jak nie deszcz, to śnieg, a wśród tego nie przestają świszczuć kule. Jaka straszna tam nędza, moje dzieci!... Mam nadzieję — ciągnął dalej — że jak mój syn Andrzej pójdzie na front, to się pogoda naprawi. Napatrzyłem ja się w życiu niepogody, napatrzyłem! No, i zawsze kończyła się tak jak przyszła, niewiadomo czemu. Bóg tak chciał! Pomódlmy się.

Powstał.

Po małej chwili klęczeli wszyscy na nierównej, twardej podłodze izby, wszyscy twarzami zwróceniu ku ognisku, na którym dogasał żar, od czasu do czasu buchając jeszcze płomieniem pod silniejszym podmuchem wchru z komina. Nad okapem wisiał wielki krucyfiks.

Tego wieczoru pacierz odmawiał ojciec. Na zakończenie zwracał się do patronów wszystkich osób z rodziny, łącznie z krewną - najemnicą. Dzisiaj dodał jeszcze to, co odmawiał teraz czasami w chwilach szczególnie ważnych:

— Wszystkie dusze zmarłych przodków naszych...

— Módlcie się za nami!

— Wszyscy Święci tej wielkiej wojny...

— Módlcie się za nami!

— Niech nas wszystkich Bóg zachować raczy od złego!

— Amen!

Powstano z klęczek. Chłopcy udali się do izby na prawo, od strony obory; Marta i Anna pozostały w izbie głównej, gdzie każda z nich miała własne, firanką osłonięte łóżko, mieszczące się wysoko na skrzyni z bejcowanego drzewa. Starzy rodzice otworzyli drzwi na lewo i weszli do ciasnego i niskiego alkierza, o jednym małym oknie. Stanowił on ich sypialnię od chwili ożenienia się najstarszego syna. Smutny to był wieczór!

Zaledwie Jan Maguern zapalił latarnię, która małżonkom często służyła za lampę i zaledwie postawił ją na skrzyni drewnianej, stojącej pod ścianą, gdy zagadnęła go matka:

— Janie!

— A co takiego?

— Anna nic ci nie mówiła?

— Nic.

— Nie śmiała. Powiedziała tylko mnie. Jutro rano przybędzie tu jej ojciec.

— Niech mi się tu nie waży wejść! Chyba że przychodzi mi zwrócić pięć tysięcy franków, jakie mi jest winien... inaczej niech mi tu noga jego nie postanie!

— Jakim sposobem może ci oddać pieniądze, gdy gorzej z nim jeszcze niż kiedykolwiek? Biedna Anna mówiła mi płacząc, że sprzedał znów jedną krowę.

— Ma już więc tylko dwie. Nie minie rok, a z gospodarstwa jego nic nie pozostanie. Ja ci to mówię! Nie nadarmo osiadł w tej nadmorskiej ziemi, gdziebyś całą głębę pszenną na pokładzie jednego statku mogła zmieścić. Co mu z tego, że dobrego ma pana; tak jest, dobrego, że znosi podobnego jak on dzierżawcę. Nie można się utrzy-

mać spędzając życie, jak on, na kłusownictwie i na łowieniu ryb. Jeszcze raz ci powtarzam, że sobie nie życzę, aby tu do mnie przychodził.

— Już za ostatniej swej bytności do domu nie wchodził. Powiem Annie, że sobie nie życzysz...

Jan zdjął marynarkę, rozpiął i ściągnął kamizelkę, kładąc ją na stolku; przed nim żona jego stała nieruchoma, opierając się o ścianę. Knot w latarce, choć dobrze osłonięty wielką szklaną banią, rzucał nierówne blaski i kopcził. Jęk wchru trwał nieprzerwanie.

— Zawierucha nad Bretanją, a deszcz dla naszych żołnierzy tam daleko! — westchnął znów Jan. — Czemu się nie rozbierasz?

Odwróciła głowę w stronę małego okienka, przez którego szczeliny wiatr dmuchał.

— A to widzisz, mężu, zostawiłam na stepie parę prześcieradeł z prania. Nie były jeszcze całkiem suche. Umoćcowałam je dobrze i wiem, że jeśli je kto odcepi, to pewno nie wiatr...

— Więc kto? Zostaw swoje prześcieradła w spokoju! Pójdiesz sobie zabrać jutro rano.

Ponieważ kobieta wciąż jeszcze stała bez ruchu, Jan poruszył się niecierpliwie i rzekł ostro:

— Rozumiem o co ci chodzi: boisz się, aby mój brat Piotr nie przeszedł tamtędy rano przed tobą? Zostaw to! Czas spać.

Odgadł! Zaczęła się teraz rozbierać. W parę chwil później wszyscy mieszkańcy fermi w Penmur, powiatu Muzillac, spali snem spokojnym przy wtórze żalonych zawodzeń wchru.

II.

Mieszkaniec wyspy

Ledwo dzień zaczął świtać powiedział Jan do żony:

— Nie chodź rano po prześcieradła; zabierzesz je sobie po odejściu mego brata.

Przeszedł do sąsiedniej izby, gdzie żona Pawła i służąca już krzątały się koło roboty i rzekł do Anny:

— Zabierz wszystko bydło i zapędź je na step za domem; będziesz je dziś pasła tak jak niegdyś, gdy byłaś mała i wrócisz dopiero około południa.

Zrozumiała, że wolno jej było zobaczyć się z ojcem w stepie i popędziła bydło. Otworzyła drzwi obory, odwiązała jedno po drugich linki i łańcuchy, wyśpiewała jedno po drugich wszystkie nazwy krów i wołów, znając je na pamięć, potem przepędziła całe stado, pozwalając mu rozproszyć się po krótkiej darni stepowego pastwiska. Godzina była ósma rano. Nie widać było jeszcze nikogo. Po niebie, z którego błękitów nocna wichura zmiołła wszystko aż do najmniejszej chmurki, przelatywały tylko niekiedy zimne podmuchy, ostatnie podrygi uciekającej gdzieś daleko zawieruchy. Anna usiadła na wielkim odłamie granitowej skały, z wierzynym psem Rabusiem u nóg, i zaczęła robić pończochę.

(Ciąg dalszy nastąpi)

*) Łóżka w rodzaju szafy. U dołu szuflady. Nad nimi usłana pościel, zamykana drzwiami lub zakryta zasłoną. Do łóżka wchodzi się po stopniach.



Ubiegłego roku, dnia 6 lutego, w walkach ulicznych w Paryżu, zginęło sporo ludzi. W smutną rocznicę tego dnia odbyły się w Paryżu uroczystości na placu Zgody, gdzie złożono całą górę wieńców, i w katedrze Notre Dame (Najśw. Marii Panny), gdzie za dusze ofiar tego dnia odprawiono żałobne nabożeństwo. Na to nabożeństwo przybył jako przedstawiciel Rządu, prezes Rady Ministrów, Flandin (czyt. Flande) X. Zdarzenie to niezwyklej wagi, bo od całego szeregu lat żaden przedstawiciel Rządu nie pojawiał się w charakterze urzędowym na uroczystych nabożeństwach w kościele katolickim. Ten krok premiera francuskiego uważać należy za wzrost znaczenia Kościoła we Francji. (Illustration.)



W stalowni francuskiej, w okolicy Hennebont, zerwał się łańcuch przy przesuwalnym moście i 20 tonn roztopionej stali wylało się z kotła na ziemię ze straszliwym hukiem. W tym ognistym strumieniu roztopionego metalu trzech robotników spaliło się na węgiel a sześciu uległo strasznyemu poparzeniom. (La Tribuna Illustrata.)



Ofiarności godna naśladowania

W Zbrachlinie (pow. nieszawski, diec. wrocławska) rodzina Wawrzyńczaków ofiarowała do kościoła parafialnego nowe stacje Drogi Krzyżowej i dzwon, kosztem około 1700 zł. Ks. Biskup Karol Radoński sam uroczyste poświęcił te ofiary zacnych parafjan. Na obrazku Ks. Biskup w otoczeniu duchownych i rodziny ofiarodawców.



Uprzejmy podróżny

— Niech pan daruje, panie łaskawy! Jeżeli pan tam szuka swojego be-
retu, to proszę spojrzeć, — wisi na gałęzi.

„PRZEWODNIK KATOLICKI“ ILUSTROWANY TYGODNIK DLA RODZIN KATOLICKICH

z bezpłatnym dodatkiem dla dzieci „MĄŁY PRZEWODNIK“ oraz z osobnymi działami „ROLA I OGROD“ i „SPRAWY KOBIECE“.

Przedpłata kwartalna wynosi za egzemplarze osobniczo odbierane w ekspedycji naszego pisma i agencjach poznańskich 1.80 zł. Za egz. wysyłane wprost z Administracji w opasce pod adresem imiennym, w ilościach od 1 do 9 egz. po 2.70 zł, od 10 do 59 egz. po 2.35 zł, od 60 egz. wzwyż po 2.— zł za egz. — Dla abonentów pocztowych (bez opaski) przedpłata kwartalna wynosi 2.34 zł, miesięczna 78 groszy, dwumiesięczna 1.56 zł łącznie z kosztami manipulacyjnymi.

Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr. 206 084 „Przewodnik Katolicki“.

W sprawach dotyczących rękopisów i treści pisma prosimy zwracać się wyłącznie do Redakcji, w sprawach odnoszących się do przedpłaty, ekspedycji, pokrycia należności oraz ogłoszeń — wyłącznie do Administracji „Przewodnika Katolickiego“ w Poznaniu, Al. Marcinkowskiego 22, nie zaś pod osobistym adresem X. Redaktora.

Redaktor odpowiedzialny: X. Franciszek Forecki w Poznaniu. — Za reklamy odpowiedzialny: Ignacy Domański w Poznaniu.

W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajków i t. p. wydawnictwo nie odpowiada za regularne dostarczanie pisma i abonenci nie mają prawa domagać się niedostarczonego numeru lub odszkodowania. Nakładem i cziocionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu — na papierze z własnej fabryki papieru „Malta“.

Telefony 26 78, 22 41, 36 13, 36 14, 31 27.